

Śledztwo do powtórki

Ostatnie ustalenia Naczelnej Prokuratury Wojskowej w sprawie przyczyn katastrofy smoleńskiej utwierdzają w przekonaniu, że śledztwo to od samego początku jest prowadzone nierzetelnie. Jego celem jest, wszystko niestety na to wskazuje, oddalenie i ostateczne zanegowanie bardzo prawdopodobnego faktu zaistnienia związku przyczynowo-skutkowego między eksplozją samolotu a jego upadkiem na ziemię. A już wątek udziału „osób trzecich” to pięta achillesowa tego śledztwa. Zadanie, jakie wykonuje prokuratura wojskowa, jest zgodne z linią polityczno-propagandową państwa Tuska, które od samego początku zwolniło się z wszelkiej odpowiedzialności za dramat 10 kwietnia 2010 roku. Ani rząd, ani prezydent nie dopuszczają innej wersji przyczyn katastrofy niż tragiczny wypadek lotniczy i jego „banalnie prosta przyczyna”. Takie też jest oczekiwanie Moskwy.

Nieprofesjonalne działania NPW demaskuje przekaz medialny z konferencji prasowych, które cechuje coraz większy chaos, nerwowość i bezradność, z jaką prokuratorzy odpowiadają na najprostsze pytania dziennikarzy. Szef wojskowej prokuratury płk Ireneusz Szelaąg (wcale nieproszony o tę wypowiedź) skarży się na zamiar likwidacji prokuratury wojskowej, pomysł powołania specjalnej ustawy regulującej zasady dalszego prowadzenia śledztwa, a nawet na prześladowania w postaci „wyzwisk” pod adresem prokuratorów. To fakt, działają pod coraz większą społeczną presją, ale o dyskomforcie ich pracy

decydują oni sami oraz ich biegli z Centralnego Laboratorium Kryminalnego Policji. Oby w miarę upływu czasu dyskomfort ten nie będzie się pogłębiał.

Ostatnia konferencja prokuratury, o której ustaleniach zapewne „przypadkowo” wiedział wcześniej premier, bo od razu kazał przeproszać za oskarżenia o zamach, jest jak strona NPW w Internecie. Na próżno w rubryce „historia” szukać, czym była prokuratura wojskowa za PRL-u i w III RP i jacy ludzie ją współtworzyli. Jest za to dużo odniesień do prokuratury z okresu II Rzeczypospolitej, widocznie, aby wymusić więcej empatii.

Niestety, nie można odnieść się z empatią do słów prokuratora Szelağa. „Biegli ustalili, że trzy fragmenty części metalowych [w brzoście - przyp. WR] pochodzą najprawdopodobniej z elementów konstrukcyjnych skrzydła samolotu”. Kiedy w ekspertyzie używa się słowa „najprawdopodobniej”, to ekspertyza ta w efekcie ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza tezie, że metale pochodziły ze skrzydła, ani nawet z innych części samolotu. „Co do siedmiu fragmentów metali biegli nie mogą wykluczyć, że one mogą pochodzić z tego samolotu”. Jeżeli nie mogą wykluczyć, to oznacza to, że nie mogą tego faktu potwierdzić. Wartość dowodowa wynikająca z tych dwóch zdań jest zerowa i pomyśleć, że po katastrofie samolotu concorde wśród setek tysięcy części złomu znaleziono fragment metalu będący przyczyną katastrofy, a pochodził on z innego samolotu.

I jeszcze zdanie trzecie z wypowiedzi prok. Szeląga: „w kwestii uderzenia samolotu w brzozę żaden z polskich prokuratorów się nie wypowiadał, że to nastąpiło”. Zatem nie było uderzenia w brzozę, nie było beczki autorotacyjnej, czyli nie była to główna przyczyna rozbicia się samolotu? A zatem co było tą przyczyną...?

Na przykładzie tylko tych trzech krótkich wypowiedzi prokuratora opinia, dla której zapewne zwołano tę konferencję prasową, w przeddzień 4. rocznicy smoleńskiego dramatu, że „nie ma żadnych dowodów na to, że wewnątrz samolotu doszło do wybuchu”, brzmi tak samo niewiarygodnie jak dotychczasowe ustalenia biegłych prokuratury wojskowej. Chodzi tu także o te ustalenia, że na próbkach badań zabezpieczonych w Smoleńsku w 2012 roku nie ujawniono śladów materiałów wybuchowych. Na tych samych 700 próbach, które w Smoleńsku wykazywały te ślady, a w Warszawie już nie.

Ustalenia prokuratury cofają nas do początku śledztwa, ale na szczęście nie da się już nam wmówić, że pijany dowódca, siedząc w kokpicie, zmusił samolot do lądowania. Nie wszystkie bowiem ekspertyzy mogą być robione na polityczne zamówienie. Są wśród biegłych i zapewne wśród prokuratorów ludzie, którzy staną w końcu po stronie prawdy. Na to czekamy już cztery lata.

Wojciech Reszczyński

379Nasz Dziennik 10.04.14

